Cena numeru 10 zł.

RÓZGI
BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok 1 15 Grudzień 1946 Nr. 19

W ZWIĄZKU Z ENTUZJASTYCZNYM PRZYJĘCIEM REWIZJONISTY NIEMIECKIEGO, SCHUHMACHERA PRZEZ ANGIELSKĄ PARTIĘ PRACY



Rys. HENRYK TOMASZEWSKI

Atlee Schuhmacher Bevin

Cacy, cacy, Partia Pracy!

LUDWIK JERZY KERN

SEN

Wczoraj nad ranem dziwny sen miałem,
że się ze Szpalskim w podróż wybrałem,
że nas poniosły t. zw. wiatry,
żeby w Ojczyźnie zwiedzić teatry.
(Szpalski to facet młodszy niż Lec,
co do teatrów jednak — to spec.)

Śniłem więc (do dziś wiem dlaczego)
że Szpalski wziął mnie do auta swego.
(Jeden jedyny Szpalski ma auto
wśród literatów. Poprostu szał to!)
I pomknęliśmy. Szpalskiego wóz
w stronę teatrów lekko nas wiózł.

Szpalski mi w czasie drogi dowodził
że do teatru nikt z mas nie chodzi,
choćby największym był demokratą,
głównie dlatego, że nie ma na to.
Tak na dyskusji mijał nam czas,
a Szpalski ciągle naciskał gaz.

Wkońcu miasteczko. (Cóż do cholery?...)
Miasteczko małe. Teatry cztery!
Tłum ulicami wali jak złoto.
Stajemy. Szpalski pyta się: „Dokąd?
Dokąd, ach dokąd powiedzcie — woła —
walą te tłumy jak do kościoła?"

Na to mu odrzekł jakiś przechodzień:
„My do teatrów, panie, jak codzień,
Gdy spektakl widzi się razy pięć,
to coraz większa, panie, jest chęć!"
Ledwo to wyrzekł, zmieszał się z tłumem,
a Szpalski na to: „Nic nie rozumiem!"

I znów na gazie położył nogę
I udaliśmy się w dalszą drogę.

Przejechaliśmy do licha rzeczek,
objechaliśmy kupę miasteczek.
W drugim to samo, to samo w trzecim:
walą kobiety, starcy i dzieci.
Poprostu orgie aż miło patrzeć,
wszyscy wieczorem siedzą w teatrze.

W każdym miasteczku z wybiciem szóstej
wszystkie mieszkania zostają puste.
Nikt nie zostaje z mieszkańców w domu.
Domu pilnować? A po co komu?
Przecież i tak nic nie zginie z mienia,
bo wszyscy poszli na przedstawienia.

A Szpalski zęby szczerzy en face:
„To mój ideał. Teatr dla mas!
Nie ma już danych śmiać się z teatru.
Rozkwit teatru, satyrę zatruł.
I taki dobry temat się wściekł!
Lecz trudna rada." — tak Szpalski rzekł.

Popłakaliśmy się potem krótko
i rzecz skończyła się wielką wódką.
W knajpie za borem siedział arendarz,
nad arendarzem wisiał kalendarz:

WTOREK
12
Rok 2146

Popatrzył Szpalski. Wytężył wzrok.
„To taki już jest — powiada — rok?"

Obywatel Rózga ma głos



Ponieważ w mieście naszym, obywatele, i z zaopatrzeniem w zwykłą wodę krucho i z usuwaniem nieczystości niebardzo i — za przeproszeniem — ani jednej ubikacji publicznej niema, postanowił magistrat postawić jeszcze jedne teatr Narodowy. Żona moja, Pelasia, bardzo się z tego ucieszyła, mówiąc, że człowiek pracy będzie miał jeszcze jedno miejsce rozrywkowe, do którego — nie będzie mógł uczęszczać.

— Już są — rzekła — trzy czy cztery teatry i co z tego? Nie ilość jest ważna, ale wysokość. Wysokość ceny za bilet.

Myślę, że Pelasia ma melodię do przesady. Wcale nie jest tak źle, skoro np. Czyżyk, ja i mój synek dostaliśmy się w tym tygodniu na przedstawienie i kosztowało nas to zaledwie 20 złotych. Za szatnię. Za wstęp nic nie nie zapłaciliśmy, bo Czyżyk dostał pasee-partout od jednego pana, który je posiada dlatego, że go stać na normalny bilet w pierwszym rzędzie.

Sztuka nam się bardzo podobała. Przypominała trochę operetkę w „Lutni", bo i z muzyką była i z chórami, ale za to w roli Maricy czy innego Luksemburga występowali nasi krajowi „Krakowiacy i Górale".

Czyżyk, który kulturę dla mas posiada, odrazu w pierwszym akcie, zauważył, że Krakowiacy lepiej wyszli na przedstawieniu, niż w referendum. Również, kiedy synek mój na widok ciemnoskórych mężczyzn, ubranych w obcisłe kalesony i koszule, a noszących czarne warkocze, pisnął: — tato, Indianie! — wyjaśnił, że to nie Indianie, a przedstawiciele. b. „Góralenvolku".

— Paru z nich powiesili — rzekł szeptem — reszta kapcami zakopiańskimi handluje.

Ze sztuki jednak widać było, że górale się zajmują gorszymi sprawkami. Już do Krakowiaków przyjechcli tak zbimbrowani, że zataczali się po całej scenie Następnie herszt ich, pseudonim „Bryndas", chciał zgwałcić córeczkę miejscowego zarządcy Młyna Państwowego, ob. Basię. Kiedy to mu się nie udało, Górale zamienili swoje kijki na siekierki, i ukradłszy Krakowiakom bydło, pierzchli w las.

Trzeba z uznaniem przyznać, że Krakowiacy natychmiast zororganizowali ORMO z konsynierów i puścili się w pościg za bandą „Bryndasa" doganiając ich przed Zakopanem.

Ku uciesze Czyżyka, mojego synka i mojej własnej, do rozlewu krwi bratniej jednak nie doszło. Nie doszło — dzięki taktyce pewnego szpakowatego Studenta, który pogodził powaśnione partie już to przy pomocy elektryczności, już to przy pomocy listu od gen. Kościuszki.

Górale poprawili się, oddali skradzione bydło i b. ładnie ślubowali razem z Krakowiakami, że jeśli użyją kiedy ciupag i kos — to nie dla walk bratobójczych, ale dla obrony Ojczyzny i granic nad Odrą i Nisą.

Kiedy opuściliśmy teatr po skończonym przedstawieniu, Czyżyk zaczął dmuchać w ręce.

— Co ci to, bracie kochany? — zapytałem — Oparzyłeś się?

— Nie — rzekł Czyżyk — To od oklasków. Podobało mi się.

Przeszliśmy kawałek drogi, a przyjaciel mój ciągnął dalej:

— Pouczające przedstawienie. Wartoby je uprzystępnić, ażeby wszyscy wiedzieli, jak mają wystąpić w sztuce, której premiera odbędzie się 19-go stycznia.

— Myślisz o wyborach?

— A pewnie — odparł Czyżyk — Chciałbym, aby się zakończyły tak szczęśliwie i pięknie, jak ci „Krakowiacy i Górale": w zjednoczeniu i wspólnym działaniu całego narodu...

Napisała MAGDALENA SAMOZWANIEC

Ilustrowała REGINA KAŃSKA

CIOTUCHNA

Są ludzie, którym się nie może dobrze powodzić. Nie podobają się losowi, widocznie mają w rysach coś takiego... My z żoną właśnie należymy do tego typu osób. Pracujemy oboje uczciwie, ja w Urzędzie Miejskim, żona w... myszkach. Najpierw hodowała króle, ale swołocz tyle żarła, że to się nie opłacało, a poza tym żona jest nerwowa, drażniło ją to, że tak wciąż pyszczkami ruszały, i łapką trzepały uszy, już nie mówiąc o tym, ze jeden robił za dziesięciu... Więc teraz hoduje białe myszy. Ona sobie siedzi spokojnie, a myszki za nią pracują. Gdy już się dochowa kil-



ku podrośniętych, to je sprzedaje dzieciom szkolnym, ażeby miały co starszym wsadzać na noc pod prześcieradło. I wszystko jakoś byłoby szło, gdyby nie ciotuchna.

Zjechało nam to biedne, bezdomne, więc co było robić? Trzeba było ją przygarnąć. Wszystkiego, biedna, miała po jednej sztuce, jedną suknię, jeden płaszcz, jeden szal w kratkę i jedną kombinację, no, i takeśmy później zbadali jedną... setkę dolarową. Daliśmy jej jadalnię, a do drugiego pokoju przeniosłem mój tapczan i teraz muszę spać z żoną pod jednym sufitem. Stąd znowu wiele kłopotów. Ja chcę wieczorem czytać, żona chce, żeby światło zgasić, ja znów chcę spać, to ona puszcza radio, ja chcę liczyć co, komu, gdzie i ile? — a żonie zachciewa się figlów — coś okropnego! A ciotuchnie wszystko nie w smak. Myszek za nic w świecie nie chce tknąć i kupuje sobie, biedula, kiełbasę. Myszki ją w ząbki kolą! — A myszki zrobione na gołąbki z sosem pomidorowym, to specjał naszego wynalazku. Coś pysznego, szczególnie w bezmięsne dni! — Kiedyś byli goście, wyciągnąłem flachę wódy, goście piją i nic nie mówią, a ciotuchna, nagle: „Fe! Fe!“ — i wylewa kieliszek na podłogę.

— Cóż to — woła na głos — jakąś „Myszeis“ gościom dajecie!“.

Wstydu nam takiego narobiła, a tymczasem co? Ot, kilka bobków mysich było na dnie flaszki. Głupstwo, prawda? A ona zaraz chryję z tego urządza. Ale któregoś dnia, wchodzę do kuchni, widzę ciotuchna siedzi w swoim szalu w kratę, jakaś osowiała, spuchnięta.

— Cóż to ciotuchnie kochanej?— pytam troskliwie.

— Chora jestem — powiada — To wasze suszone mięso na przydział tak mi dogodziło.

— Napij się ciotka kieliszek wódki i wszystko przejdzie — powiadam jak człowiek.

Jak to się na mnie spojrzało! — powiadam wam — bazyliszek to szczeniak.

— Nie wódki mi potrzeba — ale doktora. Idę się położyć mam gorączkę i trzęsie mną, a ten mi od wódki wymyśla!

— Doktora? A kto bude platil? — odpowiadam dowcipnie.

— Ja! — odpowiedziała grubym, zachrypniętym głosem.

Doktór przyszedł, pokiwał ciotką, przewrócił na drugą stronę, kazał jej się całkiem rozebrać, ażeby się do reszty zaziębiła. Wyciągnął z kieszeni słuchawkę telefoniczną i bada — Głupstwo — uśmiecha się fałszywie — Jeszcze sobie pani dobrodzika pożyje, ho, ho, jeszcze nas pani wszystkich prześcignie. Ale w naszą stronę mruga oczkiem, ażebyśmy się zanadto nie martwili. A ciotuchna mówi swoim zachrypniętym głosem:

— Tylko panie doktorze, jeśliby ze mną miało być naprawdę źle, to proszę kazać mi księdza sprowadzić.

— No, to już... szepcze poczciwy doktór w naszą stronę — Ostre zapalenie płuc i gorączka „gastronomiczna“ w tym wieku...

Ciocia ma na ręce złoty zegarek, ma także i swoich bratanków, o których wciąż wspomina, trzeba koniecznie pastarać się, ażeby nam go zawczasu ofiarowała ciepłą rączką.

— Idź kochanie, — mówię do żony — Ty tak umiesz z ludźmi gadać, postaraj się ażeby nam go za życia ofiarowała.

Żona wykorzystała moment, kiedy ciotuchna bardzo się źle czuła i pyta się:

— Która godzina?

— Zobacz sama — mówi ciotka gasnącym głosem.

— Eee, to tylko „Schafhausen“ — mówi żona — i zwykła „czternastka“, — mogła by nam go cioteczka ofiarować!

Odrazu przyszła do siebie:

— Co? Mój ukochany zegarek, a cóż ja bym bez zegarka robiła?

Żona (ten anioł) głaszcze ciotuchnę po ręce:

— Cioteczko kochana... Nie bądźmy dziećmi, z ciocią jest niedobrze... I cóż komu na Tamtym Swiecie po zegarku? Tam nie ma ani czasu ani przestrzeni... A nam by się tak zegareczek przydał...

Ale ciotka jak nie wrzaśnie:

— Wynoście się trupojady! Zobaczycie, że jeszcze was wszystkich przeżyję...

— Naturalnie, cioteczko, oczywiście... (moja żona to delikatność chodząca) — przecież oboje o tym marzymy... Pożyje cioteczka i to nie kilka lat, ale wieczność całą...

Z ciotką było coraz gorzej, przyjęła już Ostatnie Sakramenty, leży i dyszy. Więc znów ten anioł dobroci przychodzi do niej i jak do dziecka powiada:

— Przed śmiercią, cioteczko, należy robić dobre uczynki, bo wówczas się człowiek odrazu do nieba dostaje — zresztą, ktoby się tam przejmował... Młodsi i lepsi od ciotuchny umierają i dobrze. To nie takie straszne...

Ciotka była zawsze bardzo pobożna, więc moja pani zaczęła z tej beczki i to wreszcie poskutkowało.

— Ciotuchno — powiada któregoś wieczoru — Niech mi ciocia da ten zegarek, a ja za to dam za duszę Cioci na trzy śpiewane msze!

— Cztery! — wykaszlała Ciotka.

— A ciocia wie, ile teraz takie msze kosztują? — Ale niech będzie i cztery.



I w ten sposób zegarek dostał się w nasze ręce — ale czy myślicie, że długośmy się nim cieszyli? — Jak się ludzie losowi nie podobają, o nic nie pomoże. Przyszło przesilenie i ciotuchna zaczęła przychodzić raptem do zdrowia. Pierwsza rzecz o którą się upomniała to zegarek.

— Gdzie mój zegarek? — zawołała już zupełnie zdrowym głosem

— Kto mi zabrał mój zegarek?

— Przecież nam go cioteczka, będąc już jedną nogą na Tamtym Świecie, ofiarowała — zauważyła łagodnie moja żona.



Podniosła taki wrzask, nawet się wo „milicja“ znalazło się w tym obrzydliwym jazgocie. Cóż było robić? Trzeba jej było zegarek zwrócić — i dalej śpimy z żoną w jednym pokoju, ciotuchna na wszelki wypadek już u nas nie jada, tylko na mieście, zegarka dalej nie mamy, a życie nasze toczy się, jak kłębek szarej wełny drzewnej... A wszystko dlatego, że mamy oboje buziaki, które losowi nie podpadają...

O. Z. Z.
(ORGANIZACJA ZWIERZĄT ZJEDNOCZONYCH)



Rys. Kazimierz Grus

LEW: Ten mysikrólik zagraża bezpieczeństwu świata zwierzecego!

ETIENNE

GRANICA POPULARNOŚCI

Gdy szedł ulicą, mężczyźni zdejmowali przed nim kapelusze, a kobiety kiwały wdzięcznie główką. Wstępując do teatru, kina lub restauracji, natychmiast był rozpoznawany i witany przeciągłym: a, a, a, patrzcie, patrzcie, przyszedł... Gazety pisały o nim: nasz znakomity... Na uroczystych akademiach czy obchodach podnoszono w pierwszych słowach: zaszczycił swoją obecnością...

W ponury dzień zimowy znakomity człowiek stał w oknie swego wytwornego mieszkania i bębnił palcami w szybę, spoglądając z niechęcią na miasto.

— Klatka — mruczał — prawdziwa klatka. Ruszyć się nie można nigdzie incognito. Zaraz, psiakrew, poznają, wyjadą z tym swoim szacunkiem, czołobitnością i namaszczeniem i popsują każdą przyjemność! Ot, np. wczoraj poszedłem z pewną młodą aktoreczką do małego zakazanego hoteliku na przedmieściu, a tu portier, przeklęta gęba, poznał odrazu i gnie się w niskim ukłonie: uszanowanie, uszanowanie, już my tak wszystko urządzimy, że będzie mistrz doprawdy zadowolony... Oczywiście, musiałem zrezygnować z całej przygody, bo w tych warunkach — tu rzucił okiem wgłąb mieszkania — łatwo o plotki, a moja żona...

Odszedł od okna, zapalając papierosa.

— Tak, tak — rozmyślał w dalszym ciągu — Ciężkie jest brzemię sławy i popularności. Życie prywatne ulega różnym ograniczeniom i tyle.

Nagle uśmiechnął się:

— A gdyby tak pojechać do jakiejś zakazanej dziury? Tam chyba nie będę znany, a spędzę za to parę dni jak zwykły, normalny człowiek?

Wybór padł na leżący daleko od wszelkich centrów kulturalnych — Pichcin.

Już w pierwszej chwili po przyjeździe okazało się, że przewidywania mistrza nie były słuszne. Po prostu — zawiódł się w rachubach, gdyż i tu goniły go zaciekawione spojrzenia, ci i owi mężczyźni uchylali kapelusza, a kobiety kiwały wdzięcznie główką. Kiedy uchylił drzwi knajpy, znajdującej się na rynku, i usłyszał charakterystyczny szmer, który go tak prześladował w wielkim mieście: a, a, a, patrzcie, patrzcie, przyszedł..., wycofał się natychmiast na ulicę.

— Do stu diabłów! — zaklął ze zdziwieniem. — Któżby to myślał? W takim Pichcinie?!!!

Opodal kościoła spotkał dwie dziewczynki, które na jego widok zachichotały, następnie zbliżyły się i pięknie dygnęły.

— Przepraszamy bardzo — rzekły, dobywając z teczek albumy. — Chciałybyśmy poprosić o autograf!

— Autograf? — zapytał oszołomiony. — Mój autograf? Ależ doprawdy, panienki, ja jestem ot, taki sobie zwykły urzędnik pocztowy...

— Akurat — zaperzyła się starsza uczennica. — Niech pan nie oszukuje. Już my dobrze wiemy, kim pan jest. Taki sławny, znakomity...

— Fotografowany we wszystkich pismach — dodała druga— razem ze swoimi cudnymi wierszami...

Popularny mąż uśmiechnął się i napisał kilka słów w albumach dziewcząt.

Kiedy oddaliły się bardzo zadowolone, poczuł nagle na sobie czyjś badawczy wzrok.

Obejrzał się: parę kroków dalej stała dama w góralskim kapeluszu.

— To bezczelność! — zawołała w stronę znakomitego człowieka.

— Co takiego?

— To bezczelność! — powtórzyła z wyraźnym oburzeniem dama. — Ledwo smarkate od ziemi odrosły, a już pierwszych lepszych, obcych mężczyzn zaczepiają!

— No, obcych — zauważył mistrz z pewną urazą — to przesada. Okazuje się, że nie jestem bynajmniej taki obcy w tym waszym Pichcinie...

— Nie obcy? — pisnęła dama, przewracając oczami. — Obcy! Zupełnie obcy! Gdyby było inaczej, to już ja bym coś o panu wiedziała!

Znakomity człowiek ukłonił się szarmancko damie: jestem... tu wymienił nazwisko i imię. — Z zawodu — poeta. A pani, jeśli wolno spytać?

— Ja? — rzekła z godnością pani w góralskim kapeluszu. — Ja jestem naczelnikiem Pichcińskiego Wydziału Kultury i Sztuki.

FRANCJA MA TRUDNOŚCI W WYBORZE PREMIERA



Rys. Henryk Tomaszewski.

Którego Premiera?

STANISŁAW SOJECKI

Historia o Świętoszku

Świętoszek jeden, co w swych oczach
Świecznikiem był dla reszty stworzeń,
Cierpiał, że ludzkość grzechy toczą,
Że z tą ludzkością coraz gorzej.

Nie mogąc znieść widoku błota,
Ni — jak się pławi świat w kałuży,
Zamknął powieki — oczu wrota —
Żeby na zło nie patrzeć dłużej.

Gdy się od świata tak odgrodził,
Zyskawszy krąg widzenia ciasny —
Odtąd wewnętrznym okiem wodził
Tylko po wnętrzu swoim własnym.

Tu ujrzał nader różny obraz
Od tego, który ujrzeć pragnął:
Ni cienia cnót — ni śladu dobra,
Lecz całkiem przyzwoite bagno.

Jak diabeł ze święconej wody,
Świętoszek z duszy swej wyskoczył —
I wreszcie, z racji swej przygody,
Na świat otwarły mu się oczy!

* * *

Przed sklepem rozdzielczym długi ogonek. Sprzedaż idzie bardzo opieszale, bowiem klientów obsługuje tylko jedna sprzedawczyni.

Jeden z zniecierpliwionych kartkowiczów zwraca się do kierownika sklepu:

— Dlaczego obywatel nie zaangażuje więcej sprzedawczyń — prędzej by szła rozsprzedaż?

— Widzi pan — pada odpowiedź — gdybyśmy zbyt prędko sprzedali towar, za szybko by się zmniejszyły zapasy.

* * *

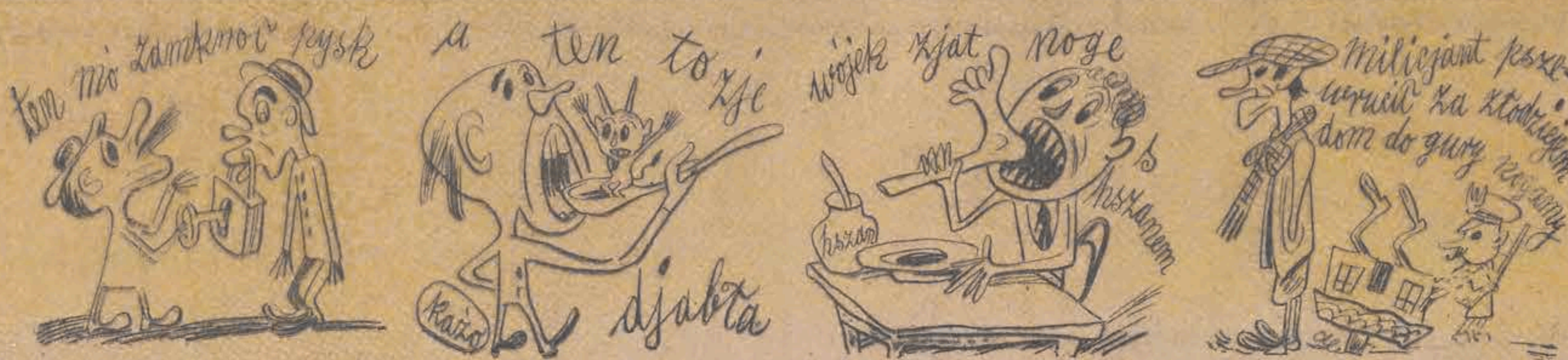
W kompanii piechoty znany był ze skłonności do pochlebstw i przesady szeregowiec Gwoździk.

— To bardzo brzydka wada — pouczał go porucznik.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Nie jestem kapitanem, tylko porucznikiem. I jeżeli mi jeszcze raz odważysz się tytułować mnie fałszywie, staniesz do raportu. Powtórz: kim jestem?

— Porucznikiem, panie kapitanie!



Rys. Kazimierz Grus

ZYGMUNT FIJAS

PLUSKWOL

„Każdy dba o swą rodzinę, lecz ileż to razy stwierdza z niepokojem, że mimo zapewnień lekarza, iż nic nie brakuje prócz trochę wypoczynku i lepszego odżywienia, naibliżsi jego mają dalej cerę bladą, są osłabieni i wycieńczeni! Nikomu nie wpadnie jednak do głowy, że w większości przyczyną tego smutnego stanu warunków higienicznych są pluskwy domowe.

Obrzydłe te owady wysysają człowieka właśnie w czasie jego wypoczynku, wypijają krew, wpuszczając do zadanej ranki pewien jad, w następstwie którego miejsce ukąszenia w najlepszym wypadku puchnie i czerwienieje, a nierzadko pojawiają się swędzące bąble. Podkreślamy „w najlepszym wypadku", bo pluskwa może przenieść prątki gruźlicy czyli tak zwane laseczniki Kocha, rozsadniki tyfusu plamistego a także choroby wenerycznej, którą nazywamy potocznie „cesarską" powrotną!"

Zdania powyższe padały z ust jednookiego jegomościa, z furią conajmniej stu dwudziestu słów na minutę, lecz piorunujący ich skutek nie pozostawał w żadnym stosunku do ilości zamówień na „Pluskwol".

„Gdy ludzie giną z głodu, mrą w głębinach mórz, padają na polu chwały, pluskwa nie ginie, obywatele. Przedziwny ten owad drwi sobie ze wszystkich przeciwśrodków, zasypia najspokojniej w świecie na torebce, zawierającej amerykański proszek, i potrafi przetrzymać czterdziestostopniowe mrozy. Otoczony swym zapachem jak chińskim murem potrafi przecisnąć się do naszego ciała przez najcieńszą szczelinę, umie nam towarzyszyć na ostatnie miejsce z wiernością grobowej deski, zanieczyszcza nam nieraz nasze własne drzewo genealogiczne i często towarzyszy swej chodzącej stołówce do teatru, urzędów, a nawet do miejsc wstydliwych".

Te słowa powtarzałem, pieszcząc oczyma butelkę pełną płynu przeciw pluskwom, gdy oto w sferycznej części mej osoby uczułem nieznaczne swędzenie. Niebawem ukłute zaczerwienieje, przeniknie do wnętrza mego straszliwy lasecznik Kocha! Na myśl, że musiałbym przebywać w straszliwych sanatoriach na Ziemiach Odzyskanych, pochwyciłem sprawczynię swędzenia i zanurzyłem wprost w butelce z „Pluskwolem". Po chwili odetkałem korek, stwierdziłem zgon owadu i z piekielną radością zasnąłem.

O północy za ścianą rozległ się huraganowy rumor rozsuwanych mebli i w ciemnościach dały się słyszeć takie słowa:

— Ani chybi tylko to jest pluskiew. Czuć ją jeszcze terpentyną. Albo ją do rana jasna cholera zabije, albo mnie tu ze złości pokręci. Dawaj szczotkę!

Niebawem w trzasku rozdzieranej na wiele części szafy dał się słyszeć wrzask kota, szmer reszty niszczonego poniemieckiego mienia i naraz w nocy rozległ się dźwięk jakby czterech rozdeptywanych klawiatur.

I wtedy coś ukąsiło mnie w prawą część mego sferycznego wyposażenia. Dlaczego w prawą, a nie w lewą, dlaczego bezpośrednio po wizycie u rozdrażnionej pary kamaszników, na to napróżno starałem się odpowiedzieć. Konstatując z przerażeniem nieobecność owadu w butelce, uchwyciłem insekta za nogi i grzmotnąłem nim w kubeł. Niebawem ujrzałem owada w wentylatorze i niebawem rozległ się płacz jakby dziecka zostawionego w ciemnościach.

To bohaterka naszego opowiadanka rozpoczęła swe dalsze wiercenia na dole, gdzie kochała się para repatriantów.

Poprzez rozdartą napoły firankę widać było oboje kąsanych kochanków, jego Romea, nie rozstającego się ze swym czarnym beretem nawet w łóżku, zaglądającego do wnętrza swych amerykańskich kalesonów zapinanych aż gdzieś na karku i klnącego pod adresem swego nieuchwytnego gościa, i ją, anglizowaną Julię, o końskich zębach, uprawiającą w samej koszuli, coś, co byłoby do złudzenia podobne do tarantelli, gdyby nie było zwyczajnem skakaniem wokół kąsającej pluskwy.

Niebawem na czwartym piętrze począł walić z kulomiotu jakiś poszkodowany przez owada żołnierz i równocześnie w suterynach pijany dozorca otworzył hydrant.

— Cccie chcholera podeptała!— wołał — zalewając łóżko strumieniami wody. — Nie można kieliszka wódki nawet przez ciebie wypić!

I oto owad pokazał się na porcelanowym policzku Napoleona. Wchodził właśnie na jego ucho, by niebawem spaść na prześliczną statuetkę Ledy z łabędziem. Zginęła uderzona zaszczytnie oprawnym tomem „Charakterów" Bruyera.

Przeniosłem ją na karcie papieru do szkatułki na pióra i tu potraktowałem ją jeszcze raz proszkiem perskim.

Nazajutrz omal nie wyskoczyłem ze swej pociętej skóry. Bohaterka mych nocnych przeżyć wtulona w róg lirycznego wiersza pewnego katastrofisty smacznie spała.

Wrzuciłem w ogień przebrzydłą towarzyszkę naszych samotności, lecz nazajutrz postanowiłem pluskwę wodzić ze sobą na smyczy, gdyż ujrzałem ją na karku naczelnego redaktora pewnego pisma, na którym bardzo zależy mym wierszycielom. Wkręcona w kosmyk jego modnej fryzury podskakiwała w takt niezmiernie ważnych dla czytelników słów.

Gdyż pluskwa jest nieśmiertelna, obywatele! Tępić pluskwy — to podpierać się workiem, czerpać wiatry przetakiem, lub chłostać łańcuchami wzburzone morze.

Dlatego, gdy zobaczymy gdzie pluskwę, nie wyskakujmy ze skóry! Nie dlatego, że skóra nasza jest licha i także nie dlatego, że nieraz nie chciałaby nas może z powrotem przyjąć, lecz tylko z tego powodu, że pluskwa jest także człowiekiem i też musi żyć.

Dlatego, obywatele, gdy spotkacie na rogu człowieka o jednym oku zachwalającego wam „Pluskwol", przechodźcie obojętnie. Nie pozwólcie się łudzić!

STRAJKUJĄCYCH GÓRNIKÓW AMERYKAŃSKICH UKARANO GRZYWNĄ 3.500.000 DOLARÓW.



Rys. Henryk Tomaszewski.

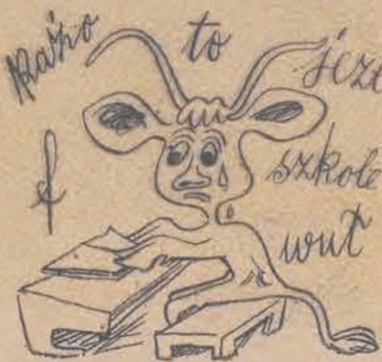
Wolność Tomku, w Białym Domku...

MARIAN PIECHAL

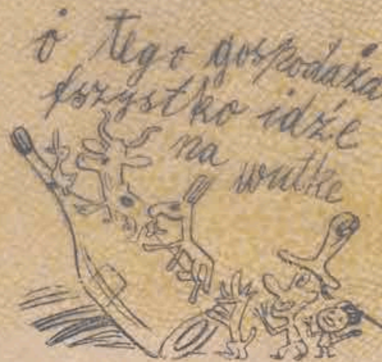
CZY WIECIE, ŻE...

Prawda, że śnieg jest biały, że ogień się pali,
że Niemcy obie wojny światowe przegrali,
że każda po dwudziestce panna jest do wzięcia,
że Mussolini swego zamordował zięcia,
że jajko dziś o wiele od kury mądrzejsze,
że brzydkim procederem zajmują się gejsze,
że Szekspir w swoim „Kupcu" rzekł o Niemcu szczerze,
że to jeszcze nie człowiek, chociaż już nie zwierzę,
że wielkie się narody kosztem małych tuczą,
że dzieje dyktatorów niczego nie uczą,
że można być jak Hitler z zera „bohaterem",
że można być jak Petain z bohatera zerem,
że po mowie się Byrnesa Niemcy ożywili,
że znowu by się bili, ażby nas wybili,
że ksiądz Tiso i Maczek podobni do Hachy,
że razem byli śmieszni jak wróble na strachy,
że Franck to nie jest Frank, a Frank to nie Franco,
że Franco nie jest blanco, a Frank to jest manco,
że nikt jeszcze nie doszedł prawdy polityką,
że już lepiej się wybrać na słońce z motyką,
że jeszcze świat tej prostej nie dokazał sztuki,
żeby ze starych grzechów wyciągnąć nauki.









Rys. Kazimierz Grus

JERZY ZAJĄCZKOWSKI

BALLADA O NIEDOBREJ MIŁOŚCI

**Najdziwniej na świecie dobrana
Złączyła się z sobą parka:
Mocny angielski funt szterling
I słaba niemiecka marka.**

**Uczucie, prawda rzecz gustu,
(A gust, jak wiadomo, to grunt)
Przypadli sobie do biustów
Marka i funt.**

**Ona stokrotna inflatka,
Ofiara ostatnich wojen,
Zdobyła serce funta
Wstępnym miłosnym bojem.**

**O demokracji szeptała,
(Ta rzecz, jak wiadomo, to grunt)
I z miejsca mu się oddała
Mrucząc: „Ich liebe dich Funt"**

**Funt tak jak każdy gentleman
Czule uśmiechał się do niej.
I komplementy jej prawił:
„I love you — szeptał — my money".**

**A potem podał jej ramię
(Ten gest, jak wiadomo, to grunt)
I odtąd jak rycerz przy damie
przy marce szedł dumny funt.**

**Widząc to inne waluty:
Dinary, ruble i franki,
chciały odciągnąć faceta
od sprośnej niemieckiej kochanki.**

**„Opanuj się funcie troszeczkę,
(Panować nad sobą to grunt)
Bo wstyd, by z nędzną mareczką
Łajdaczył się piękny funt".**

**Lecz nie pomogły perswazje,
prośby, dowody i racje.
Marka już dała funtowi
Tak zwaną fraternizację.**

**Interes mu pokazała
(Interes dla funta to grunt)
I szaleć zaczęły dwa ciała:
Marka i funt...**

JAN NYSIEWICZ


The People

Sposób towarzyski

Kiedy narzeczona Hipolita Chudeczka zerwała z nim — zupełnie nieoczekiwanie — zaręczyny, spodziewano się ogólnie, że zakochany a porywczy młodzieniec zareaguje na to melodramatycznie, t. j. zatłucze niewierną na śmierć, a sobie odbierze życie. Rodzice ex-narzeczonej i rodzice Chudeczka zorganizowali nawet wspólnie czujny nadzór nad chłopakiem.

— Diabeł nie śpi — oświadczyli sobie nawzajem — a rozpacz bywa gwałtowna. Musimy baczyć, aby wstrzymać wszelkie kroki, które mogłyby doprowadzić do katostrofy.

Na katastrofę jednak się nie zanosiło. Hipolit był, owszem, odpowiednio do sytuacji smutny i zamyślony, ale nie zdradzał ochoty do żadnych t. zw. ekcesów. W tydzień po zerwaniu z narzeczoną powiedział lakonicznie do szpiegującej go familii:

— Nie będę nosił żałoby. Założę majtki kąpielowe!

— Coś ty, Hipek, wariat? — załamała ręce matka — Chcesz się przeziębić?

— Nie, chcę się zapisać do klubu sportowego.

To postanowienie nie mogło nie podobać się rodzicom zatroskanym o losy jedynaka.

— Piękny pomysł! — ocenił stary Chudeczek — Sport to tężyzna narodu, a i jednostce nie szkodzi.

— Pewnie przytaknęła Chudeczkowa — Chłopak pohasa, zziaja się, to o tej swojej Joasi predzej zapomni. Czysty zysk dla niego.

Rodzice Joasi, obserwujący zachowanie Hipolita ze swojej strony, odnieśli się do jego decyzji z pewną rezerwą.

— Sport? — zastanawiali się głęboko — Hm, czy to go rzeczywiście pocieszy po stracie naszej pięknej córeczki?

Jakoż dalsze obserwacje potwierdziły, że Chudeczek znalazł w sporcie zadowolenie i zapomnienie. Upłynęło sporo czasu, gdy tygodnik „Na przełaj" poświęcił mu obszerny artykuł p. t. „Czyżby nowy rasowy przebojowiec?". Równocześnie szereg pism w swych sprawozdaniach sportowych począł wymieniać nazwisko Hipolita jako tego, który umie mylić ciałem przeciwnika, stosuje mistrzowsko salta i młynki, zna perfekt stoping i loping, idealnie główkuje i wózkuje, jest wybornym technikiem i taktykiem piłki nożnej.

Podziw dla gry (fair play) Chudeczka osiągnął punkt kulminacyjny na meczu towarzyskim między K. S. „Mokry" a K. S. „Zdziebko". Jeśli wierzyć doniesieniom tak poważnych organów, jak np. „W poprzek Dnia" i „Dzwonek Śródmieścia", Hipolit nie tylko przewyższył kunsztem piłkarskim Gzymsa I i Gzymsa II, ale nawet dorównał MoczceIII:

„... nie się ostała błyskawicznemu tempu Chudeczka ani bramka „Mokrego" ani jego prawoskrzydłowy napastnik, Pietraszunas, który nieudolnie kryjąc „Hipka", został wśród oklasków publiczności zniesiony bez przytomności z boiska„ („W poprzek Dnia");

„... Zwłaszcza w pojedynku z Pietraszunasem Chudeczek okazał prawdziwą wirtuozerię, rozkładając bezwłocznie przeciwnika w taki sposób, że w pierwszej chwili nikt nie zauważył wybitych zębów, odgniecionego żołądka i przetrąconej nogi" („Dzwonek Śródmieścia").

Nazajutrz po meczu nawiedziło Chudeczka szereg reporterów z zapytaniami o plany na przyszłość.

— Żadnych planów — odparł Hipolit — Przestaję grać. Wczoraj się odegrałem.

— Jakto? — wybełgotali chórem dziennikarze sportowi — odegrał się pan, kochany mistrzu?

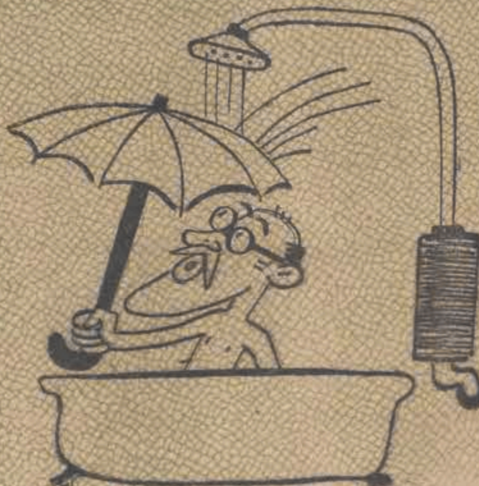
— No, przecież wiecie: na Pietraszunasie. Już od dłuższego czasu marzyłem o tem, aby mu odbić anatomię, ale w sposób towarzyski, tak aby nie być pociągnięty do odpowiedzialności karnej. Doszedłem do wniosku, że to jest jedynie możliwe przy pomocy sportu, który on uprawia t. j. piłki nożnej...

— Nie, to jakaś bujda, za co by pan miał odbijać żebra Pietraszunasowi?

— Za to — zaśmiał się z zadowoleniem Chudeczek — że on mi odbił narzeczoną.


Rys. Zbigniew Kiulin

**— No, jak tam w kraju? Mów pan!
— Gonili, ledwie zdołałem uciec...
— GPU?
— Nie, wierzyciele!**


Rys. Lo-lu

— Co za pogoda! Ciągle deszcz, deszcz, deszcz...


Rys. Zbigniew Kiulin

**— Jestem prawą ręką ministra...
— Przepraszam, a którą ręką sięga minister po papier higieniczny?**

STEFAN BIERNACKI

Szwajcarski zegarek

Punktualność, obywatele, piękna cnota i podobno nawet grzeczność królów, ale co za sztuka, proszę was, być punktualnym, gdy na przegubie ręki lub w kieszonce od portek, na ścianie lub nocnej szafce ma się na zawołanie każdej chwili godzinę i minutę firmy „Ultima Prima Cyma", „Alfa i Omega", „Trema", „Doxa", „Longines", „Moser" czy inny „Tavannes Waten"?

Starszy referent Kapruziak nie miał ani firmowego ani anonimowego przyrządu do mierzenia czasu, a mimo to nie spóźniał się zarówno nigdy jak nigdzie. Oczywiście, kosztowało go to trochę wysiłku. Żeby np. zdążyć na czas do biura, czuwał całą noc, oczekując ,aż na pobliskiej wieży kościelnej uderzą w dzwony na poranne nabożeństwo.

— Aha — cieszył się wówczas — szósta, można kwadransik jeszcze poleżeć!

W rzadkich wypadkach, gdy zdarzało się, że zaspał dzwony kościelne, ratował się zbiegając w bieliźnie piętro niżej, pod drzwi sąsiada, który posiadał radio i obliczał na podstawie dochodzących dźwięków (sąsiad trzyma aparat „na głosie" przez całą dobę):

— Pieśń poranna? 6.00. Dziennik poranny? 6.05. Muzyczka? Oh, to już późno: 7.05. Trzeba się na gwałt ubierać!

Z zegarów ulicznych Kapruziak starał się na ogół nie korzystać, gdyż wprawdzie wskazywały one dokładnie i godzinę i minutę, ale przez cały dzień, tydzień miesiąc i rok — jedną i tę samą.

W biurze Kapruziak mierzył czas na podstawie własnego żołądka, który ściśle o 10-ej domagał się czarnej, urzędowej kawy, a o godzinie 12-ej burczał punktualnie na obiad w stołówce. Ponadto nasz bohater orientował się co do godzin w/g trybu urzędowania naczelnego dyrektora: konferencja? 11 — 13, wyszedł na miasto i już nie wrócił? — 13,05.

Jeśli chodzi o porę po wyjściu z biura, ustalał ją Kapruziak na pobliskim dworcu w/ rozkładu jazdy. Odszedł pośpieszny do Pawiej doliny. liny znaczy 16,30, poszedł osobowy do Pitulina, 19,00, itd.

Zamknięta brama oznacza nieomylnie conajmniej 23 godz.

Zapewne niejedni z was, P.T. Czytelnicy, pomyślą, że system starszego referenta Kapruziaka był fatygujący i skomplikowany i że o wiele prościej byłoby, aby ten idealnie punktualny urzędnik zaopatrzył się w zegarek?

Macie rację, ponadto odgadliście najskrytsze marzenie Kapruziaka: pragnął on w rzeczy samej mierzyć „czas to pieniądz" — przy pomocy zegarka, ale na to właśnie nie miał pieniędzy.

Gdyby tak — wzdychał — tysiąc, dwa tysiące — to jeszcze, ale 50.000? Nie, to stanowczo nie na moją kieszeń...

Zdarzyła się atoli okazja i na jego kieszeń. Biuro, w którym pracował, otrzymało na sprzedaż od dobroczynnej PCH pewną ilość tanich zegarków, zwanych szwajcarskimi. Kapruziak nabył natychmiast jedną sztukę, myśląc z zadowoleniem:

— No, nareszcie skończą się oczekiwania na dzwony kościelne, podsłuchiwania radia u sąsiada i regulowanie czasu w/g rozkładu jazdy PKP!

Uśmiechając się rozkosznie, zasnął błogo z zegarkiem na krześle obok łóżka. Kdy się obudził, było już widno i ruch w kamienicy wskazywał na późną godzinę. Kapruziak się tym nie wzruszał ponieważ na jego szwajcarskim zegarku była dopiero szósta.

Opierając się na danych w/g nabytego przyrządu do mierzenia czasu, przybył do biura ku ogólnemu zdziwieniu — przed południem. Lecz i to go nie zaniepokoiło, ponieważ wskazówka na zegarku określała godzinę 7,45, a zegarek był przecież szwajcarski.

Nowy tryb życia, oparty na zegarku szwajcarskim, był dla Kapruziaka wprawdzie o wiele wygodniejszy, ale naraził go za to, na szereg konfliktów z dotychczasową cnotą: Kapruziak przestał być punktualny.

Kiedy go wylano z tego powodu z biura, zdziwienie jego nie miało granic.

— Doprawdy! — wykrzyknął — śmieszna historia: przecież zegarki szwajcarskie cieszą się sławą najlepszych w świecie!

MARIAN PIECHAL

Parodie wierszy staropolskich

JAN KOCHANOWSKI (1530 — 1584)

DO PANA P.

Janie, rzuć turbacyje i ulubuy sobie
jedno mieysce, a te iest w niewiasty osobie;
tam naydziesz utulenie i różne rozkoszy,
tam sen w obiapce, co-ć z trosk wszystkich wypaproszy,
tam dolinki, tam wzgórki, tam cieniste gaie,
bez których świat iałowy, a życie za iaye;
tedy niewieścich wdzięków słodkie krayobrazy
zwiedzay pilno i często, a mało sto razy,
właź na wzgórki, leź w gaye, spoczyway w dolinach,
bo Amor o się świadczy nie w słowiech, lecz czynach.

ANDRZEJ MORSZTYN (1613 — 1693)

REPLIKA

Jedna jednemu cierpkim słowem przymawiała,
Że nie widzi w niej, coby najlepszego miała,
Wciąż jemu w oku tylko zwierzchnie fatałaszki,
Ano tak jakby cenił bez talarów taszki.
„Że już — wierę — mnie kochasz jedynie pro forma"
A on jej jak z biczyska: „ O nie, pro reforma!"

WESPAZJAN KOCHOWSKI (1633 — 1700)

ZJADŁE ZWIERZĘ

Które zwierzę najsroższe jest dziś w polskich lasach
Zły odyniec, zły tygrys, zły wilk na wywczasach?
— Z nich wszystkich zwierz dwunogi: ten, którego cieszy,
Gdy z za pnia do bliźniego wygarnie z pepeszy

STANISŁAW TREMBECKI (1736 — 1812)

DO PEWNEJ DAMY CO CHCIAŁA SIĘ UWIECZNIĆ PRZEZ ROMANS Z POETĄ

Nie byłby to szok żaden ani żadna zbrodnia,
żeśmy się na osobek zmówili w Warszawie —
aliści nie minęło jeszcze pół tygodnia,
gdyś wezwała drugiego ku tej samej sprawie.

Ba to, coć uczyniły nasze oba pługi,
żal swój winnaś rozdzielić najmniej po połowie.
Nie wiem, kto płacić będzie: ja czy też ten drugi?
w paragon boć weszliśmy sobie w twej alkowie.

Odpowiedzi Redakcji

Kazimierz Ćwiękała (Kraków). Z nadesłanych wierszyków, a mianowicie „Diabeł z kominiarzem" („diabeł z kominiarzem to wiadoma sprawa, ale ich rozmowa jest nader ciekawa"), oraz: „W zimie ma być zimno" („a tylko dlatego, że tam jakieś foki do Bałtyku biegą") — ku nieutulonemu żalowi wszystkich naszych czytelników — nie skorzystamy.

Charczuk Leon (Stryków). Humoreski Pańskiej p.t. „On wie lepiej" drukować nie będziemy, przypuszczamy bowiem, że Pan „wie lepiej", iż była już ona drukowana w innym piśmie humorystycznym.

„Zen" (Łódź) Prosi Pan Boga: „Zrób mnie... psem uwiązanym do budy, grzybem trującym swym jadem czy jakimś wstrętnym gadem, dziadem, co kapelusz pod nosy podtyka, pucybutem w Polonii czy Grandzie, cyrkowym klownem, małpą w menażerii..." itd. Uważamy, że niektóre z tych pragnień może pan załatwić we własnym zakresie. Trochę silnej woli, młody człowieku!

„Dziewczyna" (Tomaszów Mazowiecki). Prosi nas Pani o ocenę swoich wierszyków. Cóż można powiedzieć o nich? Chyba: „smutno ptaszynie, gdy jej łepek urżną, smutno „Dziewczynie", że pisze napróżno"

Stanisław Raczko (Warszawa). Zygmunt Ochalski (Radom), Helena Majkowska (Katowice)), K.Z. (Zduńska Wola), Piotr Sabelski (Gdańsk) — Nie skorzystamy.

Majtczak Bronisław (Łódź). Prosimy o zgłoszenie się do Redakcji w sprawie nadesłanych wierszy.



Rys. Alinka

— Czy to jest wschód, czy zachód słońca?
— Niech pan spojrzy na zegarek!



Rys. Alinka

— Nierdzewny nóż Całe szczęście!



Rys. Alinka

— Ja byłam pierwsza!
—Na świecie — tak, ale nie przy kasie!

STEFAN STEFAŃSKI

ROZRYWKA

Już od dłuższego czasu namawiali mnie znajomi i przyjaciele. — Kontakt — mówili—z tobą trudny: jak cię właściwie szukać?

Albo:

— Jakże tak można żyć? Człowiek współczesny — zrozum—bez tego, jak bez ręki. Przekonali mnie. Zebrałem się, że tak powiem — w sobie finansowo i... założyłem telefon.

Dla kontaktu i w ogóle, żeby mieć rękę jak człowiek współczesny. I, rzeczywiście, od założenia aparatu począwszy, kontakt był ciągle, a ręka mało od słuchawki ze zmęczenia nie opadła

Jakiś miły głos kobiecy przekonywał mnie, że mnie kocha i musimy pójść na dancing pod „Polarną Wydrę", nieznany mi baryton groził przez tubę, że jak do dziesiątej nie oddam 2.000 złotych, to on ze mną się policzy;z dworca kolejowego spytano mnie uroczyście, kiedy właściwie mam zamiar wyładować towar; wzywano mnie rozpaczliwie do chorego i do pożaru; proponowano mi szyfrem kupno, diabli wiedzą czego: dolarów czy benzyny itd.

Przekonywałem, naturalnie, swoich rozmówców, że zachodzi omyłka. Ale mało kto z nich chciał mi uwierzyć. Sprawdzali numer telefonu i klęli, na czym świat stoi, że idiota jestem i żarty sobie robię.

Rozmowy, że tak powiem, celowe trafiały się rzadko. Kiedy bowiem ja z kolei próbowałem się połączyć z przyjacielem moim, Kaziem, to odpowiadał mi z reguły Zw. Hodowców Pendziaka, Centrala Folowania Teluzy, Szkoła Artystycznego Maguillelage'u lub sklep spożywczy Antoni Woźniak.

Wniosłem reklamację do urzędu telefonicznego, ale tam mi wyjaśniono, żebym rościł pretensje do okupanta i w ogóle im głupstwami głowy nie zawracał.

Znajomi i przyjaciele, którzy mnie namówili na telefon, próbowali mi dodać ducha.

— Nie martw się — pocieszali. — pocierp trochę dla kultury i cywilizacji; po pewnym czasie aparat się rozgrzeje i będzie działał bezbłędnie.

„Pocierp". Łatwo to powiedzieć, a przecież aparat nie po to zakładałem, żeby cierpieć, tylko dla kontaktu i żeby nie być jak bez ręki. Czyby, psiakość, rzeczywiście nie można nic poradzić na chroniczne „omyłki"?

O wpół do trzeciej w nocy obudził mnie terkot telefonu.

— Jurek? — spytał słodki damski głos.

— Jurek — odpowiedziałem ponuro.

— Nie. To chyba nie ty — zastanowił się głos.

— A pewnie, że to nie ja.

— To zdaje się pan Bogdan?

— Tak, pan Bogdan.

— Ach, już poznaję. Dobry wieczór panu. Niech pan poprosi Jurka do aparatu.

— Nie poproszę

— Dlaczego?

— Bo Jurek się urżnął.

— Urżnął się? Przecież Jurek nie pije?

— Pije. Do upadłego pije.

— A pan — zadrżał w słuchawce głosik — jego przyjaciel?

— Ja? Ja go namawiam do pijaństwa.

— O, Boże...

Drugiego dnia oderwał mnie telefon od obiadu.

— Przepraszam bardzo, czy jest mecenas Piguła?

— Nie ma. Wyszedł.

— A kiedy wróci?

— Wcale nie wróci.

— Dlaczego, proszę pana?

— Aresztowany za nadużycia.

Rozmówca z jękiem odłożył słuchawkę. Wieczorem na dźwięk telefonu podskoczyłem już z pewną przyjemnością. Polubiłem swój nowy sposób załatwiania pomyłek. I rzeczywiście:

— Czy tu mieszkanie pana doktora Czubczyka?

— Doktora, ale nie — Czubczyka.

— Jakto: przecież jeszcze wczoraj..

— Wczoraj tak, a dziś — nie.

— Proszę pana, jestem jego pacjentką. Co się stało z doktorem Czubczykiem?

— Stało się to, co stałoby się z panią, gdyby panią dłużej leczył.

— To znaczy?

— Umarł.

— Jezus Maria!

Pomalutku nie tylko ja, ale i cała moja rodzina przyzwyczaiła się, ba nawet oczekiwała na pomyłki telefoniczne.

Bardzo to było przyjemne być poniekąd panem cudzych losów: zabijać, aresztować, rozdzielać dwa serca kochające, unieważniać jednym słowem bardzo poważne krociowe tranzakcje.

Niestety, każda przyjemność musi mieć swój koniec. Czy to dlatego, że się aparat „rozgrzał", czy też z tego powodu, że się ludziom omyłek odechciało — telefon zaczął działać — jak to się mówi bezbłędnie.

A wielka szkoda.

Bo, powiedzcie sami, co za rozrywka przyjmować telefony od znajomych i przyjaciół, którym trzeba rzetelnie odpowiadać na nudne i banalne pytania: co słychać? Jak się czujesz? Kiedy się zobaczymy? Nic ciekawego.

(Z przygotowanego do druku zbiorku utworów satyrycznych p.t. „Ozór po polsku")



Rys. Regina Kańska

— Ja do pana z sercem, a pan mnie nie chce przyjąć?



Rys. Jan Lenica

— Dlaczego panu to koło tak naprzód ucieka, panie Czubek?
— Bo to jest koło od wyścigowego roweru!

W korpusie przysposobienia cywilnego (Armia Andersa) przełożony mówi do podwładnego:

— Niebawem będziecie zwolnieni z wojska. Sprawujcie się dobrze przez te ostatnie tygodnie, wypełniajcie sumiennie swoje obowiązki, a możecie się spodziewać niezłej posady. Właśnie wakuje posada odźwiernego w hotelu. Czym byliście w cywilu?

— Dyrektorem hotelu!

* * *

Dwaj złodzieje siedzą w więzieniu w jednej celi, czas im się dłuży na co reagują rozmaicie, odpowiednio do swego temperamentu: jeden, spokojny, siedzi, drugi, porywczy, chodzi ciągle po celi. Spokojnego to wreszcie denerwuje i pyta:

— Słuchaj, Wacek, czy tobie się zdaje — że jak będziesz chodził, to już nie siedzisz?

— O panie profesorze, co to za dwa pudla niesie pan do domu — z jakiego powodu?

— Widzi pan — dla pewności. — Żona dzisiaj na odchodnem mnie pocałowała, więc nie wiem, czy to może jej imieniny, czy też nasze srebrne wesele.

* * *

Z kuchni do restauracji przynosi kucharz pokrajaną pieczoną gęś. Gospodyni rzuca okiem na półmisek i woła:

— I znowu Adolf rozkroił gęś tylko na cztery części! A ileż to razy ja uczyłam Adolfa, że z jednej gęsi robi się osiem ćwiartek!...

—Dlaczego ten nasz nowy tenor — pyta się intendent teatru woźnego — kinie w swojej garderobie tak okropnie? Przecież po tym przedstawieniu dostał aż 11 bukietów i koszów z kwiatami. Czy jeszcze mało?

— Byłoby może dosyć, panie sekretarzu, — ale on sobie w kwiaciarni zamówił dwanaście.

* * *

Córeczka urzędnika X kategorii, zapytana, na jaki dzień przypadają jej imieniny, odpowiada:

— Na 15 grudnia...

— Ale na jaki dzień tygodnia?

— Dzień bezmięsny.

— Najdroższa, te miliony gwiazd na niebie niech będą świadkami, że cię kocham i kochać cię będę wiecznie...

— Wiesz co, kochany, nie mam tak wielkich wymagań. Wystarczy mi dwóch świadków w urzędzie stanu cywilnego.

* * *

Małomiasteczkowy milicjant aresztował jakiegoś łobuza, który oburzony, zachowuje się wobec niego zuchwale i wyzywająco. Naturalnie, milicjant spisuje protokół, w którym notuje, jak zwykle, imię, nazwisko, imię ojca, miejsce urodzenia itd. W księdze protokółów jest jeszcze rubryka „znaki szczególne". W tym miejscu milicjant pisze:

„Znaki szczególne, jakie mi aresztowany okazał, były tego rodzaju, że nie można tutaj opisywać."

* * *

„Rózgi" ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź, Piotrkowska 98 — telefon 212-57
Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański, Henryk Tomaszewski
Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 208-41
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej.
D. 08993